MIECZYSŁAW SROKOWSKI

ICH TAJEMNICA

1
8

WYDAWNICTWO K. BREITERA

N. 14010 1 F

MIECZYSŁAW SROKOWSKI

ICH TAJEMNICA

POWIEŚĆ

07088

WYDAWNICTWO K. BREITERA
RZYM 1947

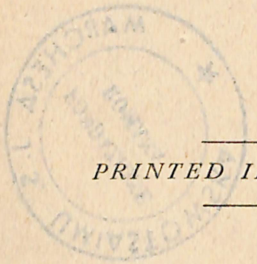

PRINTED IN ITALY

O.G.I. - Officine Grafiche Italiane - Roma - Via Cesena, 14 - Tel. 767.166

I.

Gdy pociąg się zatrzymał, Kaniowski, wyskakując z wagonu, natychmiast zapytał Semka:

— Czy pani Zamczyńska z córką są już w Porohach?

Ale stary nie mógł odpowiedzieć, wiatr mu prosto w twarz wiał i zasypywał śniegiem oczy i usta — zgiął się tylko w pół i objął kolana Kaniowskiego — potem wziął z rąk jego torbę podróżną i poszedł w stronę stacyjnej budki, mającej dworzec zastępować.

Gdy się znaleźli w małej, silnie ogrzanej poczekalni, Semko ponownie przypadł do rąk Kaniowskiego — głos mu drżał i łamał się:

— Paniczu — paniczu — radość będzie, radość — powtarzał w kółko... Ucieszą się

państwo, bo ucieszą. Natęsknili się przez te dwa lata.

Kaniowski drżał z niecierpliwości — ale zgniótł wzruszenie i począł na przekór sam sobie, na pozór spokojnie dowiadywać się o zdrowie rodziców i sióstr. Gdy się stary wygadał, zapytał cicho, powstrzymując oddech.

— Czy panie Zamczyńskie przyjechały już?

— Przyjechały, jeszcze w zeszłym tygodniu, odparł stary.

Kaniowski uczuł ciepło w piersi — światło oblało mu oczy — stary to spostrzegł...

— O, już dawno w Porohach takiego wesołego Bożego Narodzenia nie było, jak tego roku będzie — da Bóg...

Kaniowski zamyślił się. Semko zapytał:

— Czy zaraz jedziemy, paniczu?

Kaniowskiemu, który odwykł od nazwy »panicz« w czasie swej dwuletniej włóczęgi po świecie, teraz słowo to wydawało się dziwnie kochane i swoje. Popatrzał w rozrzewnione oczy starego i szepnął:

Jedźmy jak najprędzej, żeby, nim zmrok zapadnie, minąć Stawiska. Dzięki Bogu zaczyna się rozpogadzać.

— To i zawsze tak — odparł stary — cały dzień wieje tym śnieżyskiem i wieje, dopiero pod wieczór ucicha, jak makiem siał, i już cała noc jest piękna.

Trójka rysaków pomykała szybko, głęboką kopną sanną. Wicher ustał. Kaniowski pod białem nakryciem śniegowem wyczuwał serdeczną Naddniestrzańską ziemię swoją; pieścił okiem ten lekko falisty krajobraz, daleki, rozciągły, bezkresny taki, że oczy mgłą mu zachodziły. A gdzie tylko na wzgórku zaświeciła cerkiewka, tam zaraz widniały ogromne, ustrojone puchem śniegowym, czarne świerki i bielił się dziwnie spokojny, biedny, a jasny wiejski cmentarz.

Kaniowski szeptał w myśli:

— Jak się to jednak kocha — jak kocha... Pojęcia nie miałem.

Kraj równy, przestronny — i zda się, że milczy tą równiną swoją, a gdy zagada czasem jaką wyniosłością, to chyba bezimien-